

NIE W PORE.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

Teresę Prażmowską.

(Ciąg dalszy).

List XXIX.

ZYGMUNT DO ANIELI.

Dnia 6 września.

Miałas słusność, Anielo; czas idzie i zaciera z wolna wszystko, co w duszy wiecznóm być miało. Łagodnieje boleść, czy wyczerpuje się zdolność cierpienia? ja nie wiem.... czy téż duch ludzki przywyka do cierpienia, jak organizm fizyczny do choroby, z którą żyje dopóty, póki go ona nie zabije? i tego nie wiem; czuję tylko że nie takie piekło rozpaczy wre mi w sercu, a boleść moja, równie jak przedtém głęboka, zżyła się z myślą moją i przestała być tém widmem okropnóm, przed którym cofała się pamięć strwożona... A jednak gorzki mam smutek w sercu, pogrzebałem nadzieje moje, a niedogasłe szczątki uczucia jeszcze mi tleją w sercu i trwożę się i obawiam, czy lada powiew złudzenia nie rozdmuchnie ich znowu w jasny, gorący płomień? Bo ty Anielo, której życie takim spokojnym a wdzięcznym płynie torem, ty nie wiesz jeszcze, jakie burze szaleć mogą w rozo-

gnionój namiętnością piersi ludzkiej, i w nieświadomości swojej błogosławiona, nie domyślasz się nawet, jak trudno pokonać je wolą, tą iskrą boskości na pomoc i podporę życia nam daną. Ty nie wiesz, ile razy omdlewa w walce ta niestrudzona rodzicielka cudów, ty nie wiesz Aniello, jak pustym i jałowym stepem rozkłada się przyszłość przed oczyma tych, co sami siebie pokonawszy, stoją na grobowisku własnej przeszłości swojej. Myśl moja i wola pogodziły się już z tą bezbarwną przyszłością, wyrzekły się wszelkich manień szczęścia... ale smutno mi bardzo, a rzeczywistość życia, choćby najpiękniejszymi wdzięczyła się do mnie uśmiechami, nie potrafi mi już czoła dawną pogodą rozjaśnić.

Wszystkie te myśli snuły mi się pewnego dnia po głowie, gdy z cygarem w ustach zabrał swoje miejsce wśród rodzinnego kółka, które w poobiednich godzinach zgromadza się pod werendą do salonu przytykającą. Rozmowa, do której nie mieszałem się wcale, ucichła przed chwilą, a milczenie ożywiał śmiech i szczebiot bawiących się obok nas dzieci, wśród których najgłośniej słychać było małą Wisienkę, śliczne dziecko różowe, białe, jasnowłose, na które patrząc w domowém szczęściu, mimowoli zatęsknisz. Pani Morska od czasu do czasu strofowała z uśmiechem rozfiglowane maleństwo. Tola jakby zamyślona milczała, a oczy jej na robotę spuszczone, podnosiły się niekiedy i przeprowadzały spojrzeniem p. Julię, która opuściwszy swoje miejsce, chodziła wzdłuż werendy. Przez gałęzie winogrodu gęsto liściem obrosłe przedzierał się tu i owdzie promień słoneczny, i spotykając przechodzącą, łamał się snopem iskier w złotych jej włosach, smugami blasku w fałdach białej sukni rozwijał, aż wreszcie na ziemię się osuwając, stał się pod jej stopy pokornie. W tém pół-oświetleniu przezroczystém, powiewna, wysmukła, z czołem uwieńczoném w drżące cienie liści, panna Julia była tak precudownie piękną, że mimowoli prawie uderzony zostałem niezwykłą pięknością istoty, na którą od dwóch miesięcy codziennie patrzę, a którą dziś dopiero zobaczyłem po raz pierwszy w takim blasku idealnej piękności stojącą. Tola jakby odgadując myśl moję, zwróciła się nagle do mnie.

— Prawda, jaka ona śliczna— szepnęła, wskazując na Julię która w téj chwili właśnie uśmiechając się łagodnie do chwytającej ją za suknię Wisienki, promieniała niewymownym urokiem serdecznej słodczy letniój. Ten uśmiech obiecywał całą przyszłość cichych radości domowych, obiecywał poważny majestat macierzyństwa w téj, co się z taką miłością do dziecka uśmiechnąć umiała. Uwagę Toli potwierdziłem skinieniem głowy, nie uznając nawet za potrzebne stwierdzać słowa prawdy, tak mocno w oczy bijącej. Tola mówiła dalej:

— Czyś ty kiedy pomyślał Zygmuncie, jak niepojęcie szczęśliwym może być człowiek, który w istocie, co mu jest życia towarzyszką, znajdzie tyle piękności moralnej, że wobec niej gaśnie piękność fizyczna, choćby najbardziej olśniewająca?

— Rzeczywiście— odparłem— szczęście to wielkie, choć rzadkie.

— Wierzysz jednak w jego możebność?

— Wszystko jest na świecie możebnem.... ale dlaczego mi to mówisz?

Tola umilkła na chwilę, jakby się namyślała, jaką ma dać mi odpowiedź.

— Zygmuncie— rzekła wreszcie powoli z nieśmiałością delikatnej kobiety, która się lęka mimowolną popełnić niedyskrecyę— Zygmuncie, ze wszystkich kobiet, jakie ja znam, jedna tylko Julia takim szczęściem obdarzyć może...

— Wierzę— przerwałem bratowej— takimi zasobami moralnego bogactwa, mało która poszczycić się ma prawo. Nieraz, rozmawiając z p. Julią, sam byłem zadziwiony czystością i siłą jej pojęć.

— To téż czysta i silna przejdzie przez życie— mówiła znowu Tola— a kochająca i słodka, co także niemałą jest zasługą. Są istoty czyste jak kryształ lodu i tak jak on zimne, jak stal silne i jak stal nieugięte. Ta twardość stalowa i lodowata obojętność, odejmuje im w moich oczach wszelką zasługę.

Nic nie odpowiedziałem na to zdanie ze wszechmiar sprawiedliwe i słuszne. Ale Toli koniecznie widać chodziło o moję odpowiedź, bo widząc że milczę, spytała:

— Wszak prawda, Zygmuncie?

— Prawda niezaprzeczona—odparłem—wartość ludzkiej treści zdwaja się często formą, w jakiej się treść ta objawia. Jedną sobie ludzi wdziękiem obejścia, piérwój jeszcze zanim zdołają ocenić twoję wartość moralną, a tą wartością nietylko wyrównać wdziękowi zewnętrznemu, ale go nawet przewyższyć, to rzecz niemała i nielada jest przymiot. Panna Julia w wysokim stopniu posiada tę umiejętność...

— Zygmuncie—przerwała mi nagle Tola, zdobywając się nagle na wypowiedzenie myśli, koło której krążyła dotąd słowami, dlaczego ty się o nią nie starasz?

Zaskoczony tém pytaniem, na które wcale nie byłem przygotowany, zawałałem się trochę z odpowiedzią.

— Ciotka dałaby ci ją chętnie—mówiła dalej Tola.

— A wolę panny Julii za nicze liczysz?—spytałem.

— Broń Boże! Julka ma zanadto serca i rozumu, żeby nie umiała chcieć dobrze i niezłomnie, ale... i znowu zawałała się trochę Tola—ja ci właśnie dlatego to mówię, że może odgadłam wolę Julki.

— Czyżby ta wola miała być przychylną twoim projektom?

— Cóż w tém niepodobnego?—odparła Tola, uśmiechając się z mego zdziwienia—czy sądzisz żeś jój nie wart?

I nie dając mi czasu ust otworzyć, dodała:

— Nieraz mi to już przychodziło na myśl, nie chciałam ci jednak nic mówić, czekając właściwszej pory. Dziś, wiem z pewnością, że prosząc o rękę Julki, nie doznałbyś odmowy *od nikogo*, wiem także, że obojgu wam byłoby dobrze razem.... Pomyśl nad tém Zygmuncie. Julka nie należy do tych istot, egzaltowanych i namiętnych, które namiętniej i egzaltowanej potrzebują miłości; na spokojném uczuciu, jakie dać jój możesz, oprze się z ufnością i szczęściem. Powtarzam ci, pomyśl nad tém....

I odeszła Tola, zostawując mi w samój rzeczy nowy żywot dla myśli. Przeszło dni kilka, byliśmy nieraz sami, nie korzystając bynajmniej ze sposobności powrócenia do tego przedmiotu rozmowy. Ja milczałem, wążąc się z myślami, Tola czekała na rezultat moich rozmyślań.... Długimi godzinami sam ze swoim sumieniem stawałem wobec przyszłości i badałem sam siebie, mierząc siły własne z brzemieniem czekających mnie obowiązków... I przekonałem

się Aniello, że nie uczynię nieszczęśliwą kobiety, która słowu mojemu zawierzy. Nie potrafię ukochać Julii taką bezgraniczną miłością, jaką kochałem Michalinę, ale ona mi będzie najdroższym celem życia, a jej spokój i szczęście jedynym moim zadaniem i pracować nad niem będę sumiennie. Za to, że mi słodczą i wdziękiem królować będzie w domu, że mi będzie towarzyszką życia, myśli i pracy, że przez nią i dzięki jej, ukochane moje o szczęściu domowém marzenie, stanie mi się błogą rzeczywistością, za to wszystko będę czuł dla niej wdzięczność nieopisaną, tém wszystkiém przywiąże mnie do siebie, a myśl moje i serce tak zniewoli ku sobie, że w przeszłość już wracać nie zechcę. Znam się, o ile człowiek może znać sam siebie i tego wszystkiego jestem pewny i rad imyśli, że ja samotny dotąd, a samotnością już znudzony, mój mogę na własność ten najświętszy skarb życia, jakim jest kochające i zacne serce kobiety....

Wczoraj więc udałem się do Toli z prośbą, aby mnie oświadczyła pani baronowej o rękę Julii i przyjęty przez matkę, uściskiem i błogosławieństwem przybrany za syna, poszedłem do Julii, chcąc jako uczciwemu człowiekowi należy, zdać jej sprawę z mojej przeszłości, zanim przyrzeczenie, którego zawczasu byłem pewny, przyszłość naszą nierozwiazalnie połączy. Zastałem ją samą w salonie.

— Panno Julio—rzekłem—ośmielony przez Tolę, upoważniony przez matkę pani, przychodzę do niej z wyznaniem i prośbą, czy mówić mi wolno?

Spojrzała na mnie uważnie i kładąc książkę, którą przed chwilą czytała:

— Siadajże pan obok mnie—rzekła—i mów, co masz do powiedzenia. Słucham chętnie i z uwagą.

Usiadłem więc i pod łagodnym premieniem tych czarnych, myślących oczu, które uważnie i życzliwie patrzyły we mnie, wypowiedziałem pannie Julii te wszystkie dzieje serca, z których obowiązany byłem wypowiadać się kobiecie, co na moją prośbę, rękę wraz z sercem mi odda. Powiedziałem jej, że kochałem Michalinę wielką i niezapomnianą miłością, że cierpiał męki potępieńca, że do dziś dnia jeszcze spokoju we mnie nie ma, a serce me żalem chore i ciężkim smutkiem. Słuchała, słowem żadném nie przerywając mojej mowy, tylko w oczach jej dwie łzy duże stanęły i na bla-

dawą twarz jęj różowy wybiegł rumieniec. Anielo, nie mogę ci wypowiedzieć, ile i jak cierpiałem, otwierając słowami zaledwie zabliźnioną ranę serca, cierpiałem bardzo.... ale dziwnie miło mi było widziéć to nietajone współczucie serdecznej i dobrej istoty i powoli wstępowała mi w serce nadzieja, że każdy smutek życia ona tak samo osłodzić mi potrafi. I po małej chwili milczenia, której potrzebowałem na to, by odpocząć znużonej myśli, spytałem panny Julii, czy zechce podzielić życie człowieka, który wprawdzie miłości przyrzec jęj nie może, ale da cześć wielką i uznanie głębokie i przywiązanie spokojne, ale tak silne, tak niezłomne, tak mocno w sercu zakorzenione, że liczyć na nie może i oprzeć się na niem w każdej chwili.

— Wiesz pani już wszystko, co jęj miałem powiedzieć — rzekłem kończąc — jakiej odpowiedzi spodziewać się mogę?

Panna Julia z prześliczną powagą swoją podała mi rękę którą do ust poniosłem z wdzięcznością.

— Pan smutny jesteś i zbolały — rzekła drżącym trochę głosem, i chcesz, żeby ktoś życzliwy, kochający wziął smutku tego połowę? czy tak miałam pana zrozumieć?

— Pani sercem zawsze wszystko dobrze zrozumiesz — odparłem.

— I całym sercem przyrzekam dać panu wszelką pociechę, jaką tylko serdecznie kochająca kobiéta dać w stanie.

Ucałowałem w milczeniu obie jęj ręce, ona mówiła dalej:

— Dziękuję panu, żeś mi pan zawierzył i wezwał mnie z całą ufnością do tego podziału smutku.... nie cofnę się przed swoją połową, a myśl o szczęściu pana będzie mi takim pragnieniem, taką nadzieją ukochaną, że za nią.... może pan i mnie pokochasz nareszcie....

I chciała ukryć w dłoni zarumienioną twarzyczkę i lzy co jęj na rzesach świeciły, a taką anielską arcypięknoscą kobiety śliczna była w téj chwili, żem z uczuciem czi i podziwu pełnem ugiął kolano przed istotą, co sercem pojęła przeczysty ideał kobiecości.

Dziękując jęj za te słowa pocziwe, przysiągłem sam sobie, że myśl moja i życie do niej tylko należéć będą. Z poważną radością i z dumą człowieka, który wie o tém, że zy-

skął sbarb drogi, powiodłem ją do matki, by na wspólne życie oboje nas razem przeżegnała....

Dziś myśląc o kroku, jaki uczyniłem, wierzę, że go żałować nie będę. Ta wiara wraz z wiarą w uczucie Julii dają mi pewien rodzaj *względного* szczęścia, które zapewne jest jedynem jakiego spodziewać się można bez obawy doznania zawodu. Dzięki Julii, mam dla przyszłości nadzieję, mam wytknięty cel życia i pracy, mam punkt oparcia dla marzeń moich i pragnień.... za to wszystko odpłacam jej mocnym postanowieniem ukochania ją tak rozumnie, tak poważnie i zacie, żeby nigdy młode jej serce nie poczuło braku tej serdecznej gorącej miłości, którą dać jej... nie w mojej już mocy.

Zygmunt.

List XXX.

ANIELA DO ZYGMUNTA.

Dnia 11 września.

Mój bracie najukochańszy, przywykła do smutnego wrażenia jakie mi przynosiły listy twoje, z radosnem zdziwieniem przeczytałam ostatni. Bogu niech będą dzięki Zygmuncie, że nadzieja twojej przyszłości opiera się na czémś tak poważnem i wiary godnem, jak słowo i serce Julki.... nie mam potrzeby obawiać się już o ciebie, ani też trwożną myślą zapytywać, jakim będzie dla ciebie dzień jutrzejszy.... Są wybrane, przeczyste istoty, co najpiękniejsze zadanie życia widzą w zapomnieniu siebie i o szczęściu drugich myśląc jedynie, myślą tak usilnie, modlą się tak miłośnie, że Bóg je wysłuchiwa nad prośby i własne szczęście w nadatku im zsyła. Umićć kochać, Zygmuncie.... kochać, nie myśląc o sobie, serdecznie, wyłączenie, wytrwale, być ukochanemu wiarą, co nigdy nie zawodzi i siłą, która nie upada nigdy; być mu życia spokojem, uśmiechem i wdziękiem, kochać go dla niego, nie dla siebie, i miłość do potęgi ideału podniósłszy, z radością podać mu do pocałunku czoło tym blaskiem ideału opromienione, tak umiśćć kochać, to szczęście największe i największa zasługa, Zygmuncie, i tak kochającej kobiecie życie swoje z ufnością zawierzyć można.... Krótko tylko

i pobieżnie piszę dzisiaj do ciebie, jednocześnie z tém pi-smem chcę bowiem wyprawić list do Julki, żeby jój powie-dzieć, że sercem siostry wdzięczna jój jestem za szczęście mego brata, że wierzę w nie głęboko i wiem, że ta wiara moja z jój winy zawodu nie dozna nigdy.

Aniela.

List XXXI.

ANIELA DO JULII.

Dnia 12 września.

Z listu brata mego wiem już, że chociaż mało pani zna-joma, mam jednak prawo powitać dzisiaj panią serdeczném, radości pełném powitaniem, bo najukochańszemu z mojej ro-dziny, przyrzekłaś pani swoją miłość, a taka obietnica jest szczęściem. Więc za przyszłe szczęście Zygmunta niechaj ci Bóg zapłaci spełnieniem tych wszystkich nadziei, o które serce kochającej kobiety modli się do Boga pocichu. Pod-jęłaś się Julio być Zygmontowi zbawczym aniołem pociechy, bądź więc spokojna o przyszłość: to anielskie twoje posel-stwo dobrą odpowiedź weźmie od życia. Jeżeli myślą roz-ważając przyszłość i wnioskując o nią z chwili terażniej-szej, lękasz się czy nie wzięłaś ciężaru nad siły, proszę cię, bądź zupełnie spokojną. Wierz mi Julio, jam starsza od ciebie, i lepij przeto znam życie: nie ma w niém większej potęgi jak siła prawdziwego uczucia, co wszechmocą cudu, wszechmocą zawartęj w sobie prawdy, pociąga i niewoli tych nawet, co uczuciu oporni są lub obojętni. A Zygmunt nie jest jednym ani drugim. On tylko cierpiał tak bardzo i tak gorzko, tak się zawiódł boleśnie, że zawodem i cierpieniem wyczerpał się w nim zasób sił moralnych, trzymanych w za-pasie na pierwszą walkę serca. Ale tak bogate i szlachetne organizacye, skoro tylko poczują się obezsilonemi, już zaraz na nową siłę pracować zaczynają i zdobytą zużytkowują na-tychmiast w sposób taki, jaki serce, sumienie i rozum najpo-trzebniejszym być osądzą. A pani przecie wątpić nie mo-żesz o wyroku, jaki wydadzą serce, sumienie i rozum Zy-gmunta, któremu w chwili smutku przyrzekłaś z wzniosłą pro-stotą niesamolubnej kobiety, że się z nim jego smutkiem po-

dzielisz i będziesz mu ulgą i pociechą, zanim mu się staniesz miłością i szczęściem najdroższém. Kto tak jak ty Julio, umie patrzeć na życie, ten bardzo szczęśliwym i bardzo dumnym być powinien, bo patrzy z wysoka, z niedostępnych sfer ideału, i skrzydeł jego myśli ani kwiatu marzeń nie połamiał burze, co huczą nad głowami ludziom, samolubnie małostkami zaprzątniętym i w samolubne ich cele piorunami nieszczęścia biją. Ty, której cele są inne, obawiać się tego nie możesz. Tém słowem jak życzeniem i obietnicą, żegnam cię Julio serdecznie.

Aniela.

List XXXII.

JULIA DO ANIELI.

Dnia 16 września.

Dziękuję, całém sercem dziękuję pani za słowa jęj listu; dziękuję, bo pani jedna odgadłaś tajone obawy, z któremi wchodzę w życie. Ja kocham pana Zygmunta całą siłą serca i myśli, kocham go taką miłością, co już na całe życie skarbem dla duszy się staje, a chociaż nieśmiałe przezcucie mi szepcze, że może i on mnie ukocha w przyszłości, to jednak... są chwile, w których mi bardzo smutno i straszno prawie. Ja nie wiem, czy miłość moja mu wystarczy, czy potrafi mu stworzyć taki świat, o jakim marzył i opisać go takimi granicami szczęścia, poza które myśl nie sięga już w przeszłość i pamięci o nie nie pyta. Powiedz mi pani, powiedz raz jeszcze, że ja to wszystko potrafię, że pan Zygmunt szczęśliwszym będzie ze mną niżby nim być zdołał bezemnie, bo mi tu chodzi o niego przede wszystkim, o niego jedynie, a myśli mojej niewolno zapadać w te różowe marzenia, któremi rówieśniczki moje stroją przyszłość swoją serdeczną. Jeżeli na czołe jego widzieć będę pogodę i oczy spokojem rozjaśnione, jeżeli mi serce moje powie, że przy mnie nie cierpi już i nie tęskni ani żałuje, to wtedy dopiero pomodłę się o swoją część raj u nieba na ziemi, o swoje dziedzictwo serdeczne i może... miłością u Zygmunta, a modlitwą u Boga szczęście swoje zdobędę. Ale... choćby to nawet nigdy nastąpić nie miało,

niemniej przeto będę mu wytrwała i kochającą towarzyszką, i żalu ani urazy nie będę mieć do niego, bo postanowienie moje powzięte z całą świadomością rzeczy i jasno widzę jaką sobie przyszłość zgotowałam. Tamta druga, marzona, jest w Bożej dłoni i Bożej ją polecam opiece, a pani serdecznie, głęboko jestem wdzięczną za wyrazy, co mi przyrzekają spełnienie najdroższych marzeń moich.

Julia.

List XXXIII.

NATALIA DO MICHALINY.

Dnia 10 października.

Sama nie wiem, co mam odpowiedzieć na ostatni list twój Michalino. Nie lubisz, żeby zgadywano niewypowiedziane przez ciebie myśli, a ja nie widzę i nie rozumiem jasno powodów, dla których zerwałaś z Muniem. Przyrzekając mu, wiedziałaś już dobrze, że masz do czynienia z naturą samolubną, kapryśną a pozbawioną wszelkiego hartu i tego poczucia własnej godności, jakie dać tylko może przeświadczenie o sile własnej; powtarzam, wiedziałaś to wszystko doskonale... Dlaczego więc po kilku miesiącach zerwałaś? Jeżeli wiesz przyczynę, a powiedzieć jej nie chcesz, szanuję w tobie chęć milczenia i w takim razie nie nalegam już pytaniami; jeżeli nie wiesz prawdziwego powodu, który cię do działania pobudził, to zastanów się nad sobą uważnie i *chcielibyśmy* wiedzieć koniecznie, a prawdopodobnie odkryjesz w sobie uczucia i myśli, lub przynajmniej wrażenia i marzenia, o których nie wiesz dotąd. Nie zdaje mi się jednak żeby w tobie bezustannie badawczo w siebie patrząc, znalazł się jakiś bezwiedny objaw wewnętrznego życia; to być nie może, to niepodobne u ciebie... Ty musisz wiedzieć przyczynę i co chwila przytomną myślą zdawać sobie z niej sprawę, więc dlaczego milczysz Michalino? Czy boisz się, żeby w słowach nie rozrosło się zbyt znacznie to, cobyś może stłumić pragnęła, czy też żal ci dzielić się ze mną marzeniem wypieszczonem w serdecznej tajemnicy? Zanim ja ci odpowiem na prawdopodobną przyczynę błądź panny Julii, która ci tyle dała do myślenia, ty mi wprzód na to pytanie odpowiedzieć musisz.

Natalia.

List XXXIV.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 14 października.

Natalio moja droga, ja nie chcę i nie mogę grać przed tobą komedyi, ani nawet milczeniem ci kłamać nie mogę. Inszém dziś okiem patrzę na świat i życie, i tego, co jest we mnie prawdą dla duszy; taką świętością dla myśli jest zawsze miłość prawdziwa Natalio, a ja kocham pana Zygmunta bez fałszywego wstydu, bez żadnych omówień i ogródek, poważnie i z przekonaniem wyznaję ci to uczucie, co mi jest niepokojem i męką, ale jest przytem radością i dumą także. Kocham go dziś, kiedy on mnie już kochać przestał, kocham go tém silniej, im uporniej odpychałam od siebie to uczucie, im zawzięciej zamykałam drzwi serca przed tym Bożym gościem... wszystko na próżno. Chciałam oszukać sama siebie, zaręczywszy się z Muniem, wmawiałam w siebie, że Munia kocham, że mogę z nim być szczęśliwą; całym wysiłkiem woli próbowałam zamienić to w prawdę, aż w końcu znużyła mnie ta praca, zbrzydło to zadanie kłamstwa, ciągle się powtarzające a nieskończone nigdy, i chcąc ratować, nie mówię już, szczęście swoje, ale przynajmniej to uczucie godności własnej, do jakiego ma prawo kobieta, prawdy swego serca świadoma, zerwałam z Muniem, choć mi go bardzo żal było, choć mi serce ścisłała obawa, żeby za boleść nierozważnie biednemu dziecku zadaną, nie kazał mi Bóg pokutować własną a ciężką bardzo boleścią. I dziś już ja cierpię Natalio, bo wiem, że miłość moja jest szaleństwem, że mnie już pan Zygmunt nie kocha, że choćby mnie nawet kochał, toby już w miłość moję nie uwierzył, nie spostrzegłby jęj nawet, nie domyślił się, bo choć miłość moja jest wielką, to i duma wielką także i wyrzekłabym się nieba, gdyby mi je przyszło kupować kosztem téj mojej dumy kobiecej. Widzisz więc Natalio, że jasno i bez żadnych złudzeń patrząc w przyszłość, nie mogę w niej dojrzieć nic, coby mi było obietnicą szczęścia, nie widzę w niej żadnej nadziei... nawet téj, żeby uczucie moje, słowem kochania wybiegło mi kiedy na usta i w pamięci Zygmunta

zostało... Smutna więc jestem, bardzo smutna, Natalio, bo tę przyszłość bez nadziei ja sama zgotowałam sobie, sama się postawiłam w położeniu bez wyjścia i nie mam prawa do nikogo mieć żalu Natalio; taki smutek okropnie boli i tak serce kaleczy jak rana śmiertelna... A jednak, mimo to wszystko, dziwnie mi słodko i dobrze na myśl, że i w mojej piersi rozkwitł najpiękniejszy kwiat uczuć ludzkich, że i do mnie Bóg zesłał białego anioła, co mnie uczy modlić się słowami miękkiej, gorącej prośby, modlić się ze łzami w oczach a imieniem Zygmunta na ustach...

Po ostatniej jego bytności u mnie wraz z Tolą i Julką, nie byłam jeszcze w Podzamczu. Nieśmiem tam pojechać... nieśmiem spojrzeć na Zygmunta, żeby mimowoli oczy moje nie powiedziały mu więcej niż ustom powiedzieć wolno, a tak pojechać pragnę, takbym chciała go widzieć i zamienić z nim tylko choć parę słów obojętnych, kiedy już innej rozmowy nie może być między nami... Straszna jest rzecz Natalio, kiedy własne sumienie zapyta cię o to, coś ze szczęściem życia swego zrobiła, odpowiedzieć własnemu sumieniu, żeś zmarnowała to szczęście dziecinną nierozwagą i kaprysem chwilowym; straszna rzecz zabić najpiękniejszą nadzieję i potem ręce łamać nad umarłą!...

Parę dni temu spotkałam w sąsiedztwie panią Morską i dowiedziałam się od niej, że najdalej za tydzień powraca pan Jerzy z zagranicy... zapewne Zygmunt niedługo po brata powrocie wyjedzie... I znowu życie wlec się będzie puste, szare, bez celu, bez nadziei, a rozżalone i gorzką tęsknotą zatrute. To rzecz okropna mieć takie życie przed sobą; pomyśl tylko Natalio, całe długie życie takie, bo cierpienie i boleść i męka serdeczna nie zabiły jeszcze nikogo, nie ujęły ani jednego dnia z przeznaczonych wyrokiem Bożym—dnie życia więc i mnie nie zabiją także.

Co robić z sobą, powiedz, czém się dźwignąć? czy zapomnieć, czy z własnej słabości roześmiać się drwiąco, czy schylić czoło i za krzyż smutku, za koronę uczucia dziękować Bogu pokornie?... powiedz mi Natalio moja. Jak zawsze tak i teraz, bądź mi tém źródłem niewyczerpaném, do którego w niepewności myśli, w zamęcie uczuć po prawdę przychodzę z ufnością.

Michalina.

List XXXV.

NATALIA DO MICHALINY.

Dnia 18 października.

Drogie i biedne dziecko moje, żal mi cię serdecznie, tém serdeczniej im jaśniej widzę, że miłość twoja jest prawdą, że jest takim uczuciem poważnem a silnem, co moralną istotę kobiety przetwarza i wstrząsa do głębi... żal mi cię Michalino, bo widzę, że cierpisz, a cierpienie twoje jest takie, że nawet przyjaźń moja nie może ci w niczem ulżyć, ani go od ciebie usunąć. Kto inny, chcąc ci przynieść chwilową pociechę, powiedziałby ci może, że pan Zygmunt zawsze jednakowo cię kocha; ja nieśmiem mówić ci słów, których prawda jest dla mnie wątpliwą. Nie wiem, co boleść zawodu robi z sercem człowieka wielkiej woli a uczuć gorących, czy je odwróci od téj, co zawodem zraniła, czy rozpęta w niem burze rozpacz, czy wystudziwszy je obojętnością, nowym nadziejom zwolna rozkwitać pozwoli?.. Nie wiem i boję się wnioskować, żeby wniosek na mylnych oparty danyh, nie dał ci nadziei przedwczesnych, lub daremnie jednego więcéj nie dodał ci smutku. To ci tylko powiem Michalino, że kobieta kochająca dziwnie w dumie swéj łagodnieje, że łąza w oku stojąca jest cichém a wymowném wyznaniem, wyznaniem poważnem i śliczném, którego najdumniejsza wstydzic się nie potrzebuje; łąza taka jest chryzmatem, co na walkę życia namaszcza kobietę, jest świadectwem o prawdzie uczucia, jest rękojmią siły jego i trwałości... Takiéj łązy nie kryj przed Zygmuntem Michalino, bo choćby cię nawet nie kochał, choćby mu na jéj widok nie zadrgnęło serce wzruszeniem radośnem, to ją będzie wspominał ze czcią i poszanowaniem serdeczném i zostaniesz mu w pamięci, strojna w najwyższą dostojność kobiety. Wierzę, jak cię męczyć musi ta niepewność—pojedź do Podzamcza... pojedź koniecznie; tyle razy używałaś twego sprytu na przeprowadzenie małoważnych a złośliwie obmyślanych celów, czyżby ci go teraz miało zabraknąć, tam, gdzie o całe życie twoje chodzi?—czy nie znajdziesz takiego słowa, co niby nic nie mówi, a przecież pyta i domyślać się pozwala

i odpowiedzi koniecznie wymaga? Ty tak biegła w sztuce lekkiej słów szermierki, czybyś jej miała zupełnie zapomnieć od chwili, w której sercem owładnięta, więcej czuć niż rozumować zaczęłaś? czy ci odwagi brakuje? Jeżeli tak jest, to się cieszę tym objawem, który świadczy o rozbudzonem życiu twego serca, ale niemniej przeto znajduję, że odwagę mieć musisz koniecznie. Chcąc ci jej dodać, powiem tyle tylko, że czasem ci, którzy chcą mieć wszystko, upatrują niedostatki, tam gdzie ich zupełnie nie ma. Może i ty zrobisz tak samo. Gdyby tu rzecz szła o kogoś z lekkim i pospolitęm usposobieniem, ten twój żal gorzki byłby w samej rzeczy żalem bez nadziei; ale pan Zygmunt to charakter niepowszedni, opoka, na której budować można. Dla niego wyrozumowane przekonanie powinno być i jest zapewne podstawą całego postępowania.

Jeżeli boleśnie dotknięty zawodem jaki mu zrobiłaś, zmęczony drwinkami twojemi i tą komedią obejścia, poza którą kryjesz wszystko, co jest szczerem złotem myśli, uwierzył w zero twego serca, to prawdopodobnie rozsądkiem i wolą tak serce swoje obwarował, że będzie wolał zabić w nim uczucie niż je sponiewierać, rzucając je pod nogi kobiecie, która się na jego cenie poznać nie umie. Trzeba więc doskonale rozgatkować, co w nim jest, a to zrobić tylko ty jedna potrafisz; przecież go kochasz, przecież na rezultacie tego badania zależy całe szczęście twoje. Jeżeli on się tylko rozumem i dumą broni uczuciu, to bez ubliżenia swojej godności możesz go przekonać, że nawet jego rozumne myślące oczy nie zawsze dobrze widzą. Ale jeżeli zerwała się nitka uczucia w jego sercu... *naprawdę* zerwała, to ją nie nawiązuj, nie kuś się o to, bo niedługo zerwałaby się znowu raz drugi i prócz żalu za szczęściem, zostałyby ci gorzki żal zdeptanej dumy kobieciej... Cóż ci więcej powiedzieć mogę? chyba cię uściskać tém serdeczniej, że ci tak smutno, że takim się męczysz niepokojem.

Natalia.

List XXXVI.

RAJ MUND DO ZYGMUNTA.

Dnia 10 października.

Szlachetność uczuć, której niezbite dałeś mi pan dowody w ostatniej rozmowie naszej, upoważnia mnie dzisiaj odezwać się znowu do pana i całkiem mimo mojej woli płaćć go znowu w ten dramat życia, osnuty ręką kobiety.

Musisz pan już wiedzieć zapewne, że pani Michalina zerwała ze mną... Zerwała bez racji, bez powodu, w skutek błahej z początku sprzeczki, która z mojej strony uniesieniem chwili, z jej strony dobrowolnym rozmysłem przybrała rozmiary niespodziewanie wielkie i doprowadziła nas do ostatecznego zerwania. Oddała mi, rzuciła raczej pierścioneć; wyjechałem z Kniażyna nie pożegnawszy się z nią nawet — jestem jej dzisiaj zupełnie obcy; niemam do niej żadnego prawa; ręką swoją i sercem dowoli rozporządzać może, ale niemniej przeto ja przypominam panu własne słowa pańskie: „na kaprysie chwili, tylko szalenieć gruntuje szczęście swoje.” Dodam jeszcze: że w mojem przekonaniu, co kaprys zburzył, kaprys odbudować może, i nie tracę nadziei, że obrażoną, obojętną mi dzisiaj Michalinę znowu zdołam przebłagać i zerwany stosunek nanowo pomiędzy nami zawiązać. Zbyt ją kocham szalenie, żebym spokojnie rzec się potrafił nadziei posiadania jej ręki; zbyt długo żyłem tą nadzieją, budując na niej cały gmach przyszłości, żebym dziś mógł się z nią rozstać bez sporu.... Michalina musi być moją. Będę czekał cierpliwie, długo, będę czekał dopóty, aż przyjdzie chwila, w której obeerzawszy się wkoło siebie i widząc wszędzie chłód, pustki, zawody i pragnień swoich niespełnienie, znowu się zwróci do mnie. Chwila ta przyjsć musi, bo taka a nie inna jest loika serc kobiecych. Kobieta musi mieć w życiu cel jakiś, jakąś miłość czy choćby nienawiść, coby spotrzebowywała żywotne siły jej ducha; jeżeli pan słowa swego dotrzymasz, Michalina celu żadnego nie znajdzie; mnie tylko o to chodzi. Powiedz pan, żem samolub, żem namiętnością obłąkany, że kochać nie umiem prawdziwie — na te wszystkie sądy zawczasu przy-

staje, ale mi pan dotrzymaj słowa, boś silniejszy i szlachetniejszy odemnie, który z bólu i żalu szaleję i na wszelką ostateczność się ważę, bo nic już nie mam do stracenia i dla zdobycia sobie upragnionej przyszłości, nie cofnę się przed niczem.

Rajmund.

List XXXVII.

ZYGMUNT DO RAJMUNDA.

Dnia 15 października.

Z niewymowném zdziwieniem czytałem słowa pańskie, zdawało mi się bowiem, że rzecz raz powiedziana nie potrzebuje być powtarzaną, aby obowiązującą była. Stanać panu na przeszkodzie w pogodzeniu się z panią Michaliną, tém bardziej jest dla mnie niemożliwem, że od miesiąca jestem narzeczoną panny Julii, której wysokie moralne zalety natchnąć muszą prawdziwem i głębokiem przywiązaniem każdego, kto w uczuciu kobiety szuka szczęścia całego życia, nie szalu jednej chwili. Pozostaję mi więc tylko życzyć panu, żeby zamiary jego, mniej więcej szlachetne i zacne, doszły pomyślnie do skutku.

Zygmunt.

List XXXVIII.

RAJMUND DO MICHALINY.

Dnia 18 października.

Nie spodziewasz się pani zapewne, żebym po ostatniej z panią rozmowie czuł jeszcze potrzebę odzywiania się słowami namiętnej prośby, na które pani przywykłaś odpowiadać chłodnemi ucinkami. Ten tylko prosi, kto niepewny jest odpowiedzi; ja zaś jestem głęboko przekonany, że spełnienie moich nadziei jest pewnością niezawodną. Nie myśl bowiem pani, żebym się wyrzekł myśli posiadania cię; mam upór namiętności, upór szaleństwa, którym potrafię złamać najtwardszszą wolę opór. A jeżeli jeszcze przyjdą mi w pomoc zewnętrzne okoliczności, to przyznaj pani sama, że

nie potrzebuję się obawiać ani też prosić o to, co mieć będę prawem konieczności. Pani kochasz Zygmunta i liczysz na to, że w jego sercu rozbudzi się znowu dawna miłość ku tobie; ale tego pani nie wiesz, że Zygmunt zobowiązał się słowem nie stawać mi na przeszkodzie w moich zamiarach, a tacy jak on ludzie zawsze dotrzymują słowa, choćby tylko przez dumne samych siebie poszanowanie. Czasem nawet w tém dotrzymaniu słowa zajdą tak daleko, że choćby się chcieli przeniwierzyć własnej obietnicy, nie mogą tego uczynić bez popełnienia *podwójnej* nieuczciwości. Ten ostatni wypadek ma właśnie tutaj miejsce; w dowód czego przyłączam pani własnoręczny list Zygmunta. Każdy jego wyraz powagą i godnością policzkuje szalone uniesienia moje, a nie obraża mnie jednak, bo mnie tém spieszniej prowadzi do dopięcia mego zamiaru, którym jest: włożyć na palce pani nie już zwrócony mi narzeczonej pierścioneł, ale ślubną obrączkę, której uczciwa i o własną godność dbająca kobieta nie zwraca nigdy, chyba w trumnę się kładąc. W nadziei że to nastąpić musi, spokojnie i grzecznie żegnam panią słowem: do widzenia i pytaniem: kiedy mi pani w Książynie być rozkaże?

Rajmund.

List XXXIX.

MICHALINA DO RAJMUNDA.

Dnia 22 października.

Omyliłeś się pan mocno przypuszczając, że w kwestyi takiej, jaka się obecnie między nami rozstrzyga, jest coś, co prawem konieczności nazwać się może i jako konieczność nieprzepartą ma siłę.... omyliłeś się pan zupełnie. Wszystkie argumenta pana zarówno loiki jak i grzeczności pozbawione, a poparte listem pana Zygmunta (w samą rzecz pełnym powagi i godności, którą kontrast ze słowami pana jeszcze bardziej uwydatnia), wszystkie te argumenta powiadam, nie przekonały mnie bynajmniej, żeby ciężył nademną jakiś staro-pogański fatalizm, co mnie zmusi zostać żoną pana wbrew mojej woli i przekonaniu. A przekonanie moje i wola

nigdy się na to nie zgodzą. Nie tylko że nie mam dla pana miłości, ale nawet mieć niestety, nie mogę tego poważnego uznania, téj ufności życzliwej, jaką budzi w kobiecie zany, silny i wyrobiony charakter mężczyzny; brak mi przeświadczenia o moralnej dojrzałości pana i coraz więcej, gruntowniej pana poznając, coraz się mocniej w mojem innemaniu utwierdzam. Zdaje mi się przeto, że najwłaściwszą będzie rzeczą, żebyśmy nadal pozostali w stosunkach dalekich i obojętnych sobie znajomych, a nigdy już nie wznowiali téj drażliwej kwestyi, która, stanowczo zapowiadam to panu, będzie pomiędzy nami kwestyą zawsze sporną, a nigdy zgodnie z życzeniem pana nie rozstrzygniętą.

Michalina.

List XL.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 22 października.

Natalio, wiem już wszystko... wiem dlaczego Julia tak zbladła... dołączone tu dwa listy jeden pana Zygmunta, Rajmunda drugi i ciebie o wszystkiem objaśnia. Wiesz dobrze, ja nie liczyłam już na miłość Zygmunta, nawet marzyć o niej nie śmiałam, a jednak strasznym, rozpaczynym bólem rozdarło mi się serce.... takim bolem, że nie miałam nawet siły oburzyć się na list Rajmunda, tryumfującego ze złośliwością niepoczciwą....

Cztery dni już upływa od chwili, w której ostatnią beznadzieją złamało mi się życie, cztery dni takie długie, tak przedumane smutnie, że gdy myślą poza obręb ich sięgnę, to nie wiem na czém myśl oprzeć... Przeszłość? co z niej dla przyszłości zbudować? a bez przyszłości jak żyć można? Radź mi, Natalio, radź mi, bo mętno mi w myśli i w oczach od łez ciemno, i czując się winną, modlić się nawet nie śmiem; a tak mi smutno! tak smutno!

Po raz pierwszy od zerwania z Rajmundem pojechałam wczoraj do Podzamcza. I przyznaję ci się Michalino, że pojechałam z tą myślą, by śledzić, czy obecność moja zrobi jakie wrażenie na Zygmuncie, czy głosu mego wibracje zbudzą w jego pamięci jakie wspomnienia; czy wiadomość, że

jestem już wolną i panią tak serca jak i ręki mojej, nie zmieni jego obejścia ze mną i nie nasunie mi znowu myśli, które wiem że z żalem porzucał... Pojechałam, chciałam być swobodną, śmiałą, dowcipną, chciałam go tak ku sobie pociągnąć, żeby pociągnięty o wszystkich innych zobowiązaniach zapomniał, i przy mnie już moim pozostał; ale widać Natalio, że do tych maluczkich manewrów salonowych, póty tylko zdolną jest kobieta, póki prawdziwem nie pokocha uczuciem. W obec niego zaniemiałam jak pensyonarka nieśmiała, i zapomniawszy słów z góry obmyślanych, nie miałam co mu powiedzieć, a słowo, które mi drgało na ustach, przemilczeć musiałam. Powiedz Natalio, czy najbardziej kochająca kobieta może się zdobyć na odwagę wyznania swojej miłości, gdy ją nikt o to wyznanie nie prosi, nikt na nie nie czeka? Ja mówić nie mogłam, jakąś trwogą niespokojną serce mi drżało w piersi i łzy czułam w oczach gorące, a nawet podnieść oczu nie śmiałam, nie śmiałam mu tych łez pokazać. Byliśmy długo sami, Tola z Julią wyjechały na chwilę odwiedzić chorą sąsiadkę, pani Morska zajęta dziećmi jak zwykle, nie miała czasu mnie bawić; siedzieliśmy we dwoje tylko, w tym samym pokoju, gdzie mówiliśmy z sobą poraz pierwszy. Ale wtedy jasno, wesoło płonął ogień na kominku, dziś leżał w nim tylko popiół wygasły... Czy tak samo ma być z życiem Natalio? czy z miłości i nadziei wszystkich nic w sercu nie zostanie, nic prócz garstki popiołu zimnego?

Zygmunt w milczeniu palił cygaro, ja nie mogąc ukryć zmieszania, przerzucałam machinalnie kartki albumu. Od czasu do czasu, jedno z nas obojętnem słowem przerywało ciszę, ale z tych słów oderwanych rozmowa zawiązać się nie mogła i znowu wracało milczenie.

— Kiedy przyjeżdża pan Jerzy?—spytałam w końcu.

— Zapewne przy końcu tego tygodnia.

— I swoim przybyciem uwolni pana... Czy pan prędko wraca do siebie.

— Mam zamiar wyjechać jutro i nie wiem nawet, kiedy znowu będę w Podzamcu; tyle mam w domu do czynienia, a to tak daleko odemnie...

Zapomniałam ci powiedzieć, że pani baronowa z Julią także za parę dni wyjeżdżają.

— A! jutro pan wyjeżdża!—powtórzyłam machinalnie, prawie nie wiedząc co mówię, bo te słowa Zygmunta odbiły mi się w sercu dziwnie boleśném wrażeniem.... jutro pan wyjeżdża... Kiedysz pan wracasz?—spytałam, nie mogąc się oswoić z myślą, że nic zupełnie nie będzie go już ciągnąć w te strony. I powtórzyłam znowu z niecierpliwością smutną: Kiedyż pan powracasz?

— Nie wiem pani; dzięki Bogu Jerzy powraca zupełnie zdrów i nie będzie potrzebował mojej pomocy, a w domu, jak już pani mówiłem, tyle mam pracy, tyle zajęcia, że częste wydalenie się z niego jest mi prawie zupełnie niemożliwem. Dla wyręczenia brata z chęcią poświęciłem parę miesięcy, ale dziś odzyskuję moją niezależność z prawdziwą radością.

On to mówił spokojnie, harmonijnym a wolnym głosem swoim, ja połykałam łzy gorzkie. Czułam, że wszystka krew uderzyła mi do serca, gdy pytałam półgłosem:

— Czy panu nie będzie żal tych stron?

— Prócz domu braterstwa nie mam tu żadnych ściślejszych stosunków—odparł mi na to—a Jerzy przyrzeka, że z żoną i dziećmi przepędzi u mnie parę zimowych miesięcy. Zresztą, pani, dodał po chwili poważnie, choćbym miał nawet powód żałować tu kogo, lub czegoś, to mam pracę na dzisiaj, obowiązki na przyszłość... to mnie od żalu obronić powinno.

— I obroni?—szepnęłam, czując, że mi sił już braknie.

— Musi obronić; konieczność to mistrzyni najlepsza, choć surowa, a życie się tak składa dziwacznie, że nikt nie może się obejść bez jej *mistrzowania*.

— A jeżeli ktoś nie chce uznać nad sobą tego *mistrzowania* i nie wierzy w konieczność; jeżeli walczy przeciwko temu, co nazywa *koniecznością*, a co w gruncie jest tylko urojoną zaporą, jeżeli zamiast się bronić od żalu za utraceniem, nie dopuszcza utraty, czy tak zrobić nie można?

I zamilkłam, bo twarz mi płonęła wstydem i upokorzeniem, a w oczach miałam łez tyle, że zakończyć mogły wszystko, czego nieśmiałam wymówić słowami. Brakło mi odwagi spojrzenia mu w oczy, nie wiem, jaki wyraz miała twarz jego, ale po małej chwili milczenia odpowiedział mi głosem, jakby bardzo znużonego człowieka:

— Pani, człowiek który dba o swoje własne szczęście, nie cofa się nigdy przed urojoną zaporą... a jakże można nie dopuścić utraty, jeżeli ta nie od naszej woli zawisła?

— To pan nie wierzy w tę atrakcyjną przewagę, jaką wywierają na wolę drugich ludzie, którzy umieją chcieć całym sercem i całą potęgą swojej woli?

— Wierzyłem dawniej...

— A dziś?—przerwałam głosem, w którym więcej było prośby niż pytania.

— Dziś... doświadczeniem nauczony, wierzyć w to nie śmiem. Zresztą, kto mi może zaręczyć, że moja wola wywołała w drugiej osobie wolę zgodną a rozważną, świadomą siebie, jednem słowem *wolę*, nie przejściową zachciankę chwili?

Spuściłam głowę pokonana. Chcąc sama siebie sądzić sprawiedliwie, musiałam przyznać że nie mogłam nawet wymagać od niego wiary w prawdę łez moich, jeżeli je dostrzegł, miał prawo myśleć że one są skutkiem chwilowego rozdrażnienia nerwów; kto wie? zrezną komedią może?... Upokorzenia boleść równała się we mnie boleści serdecznej, ten człowiek mnie sądził obojętnie, surowo i sądu swego wyrok rzucał mi potępieniem na głowę, nie wiedząc o tém, że w tejże samej chwili serce mi się rwało ku niemu miłością, że miałam ochotę zarzucić mu ręce na szyję i przytulić głowę do jego piersi ze łzami, z pieszczotą i z cichą prośbą, żeby mnie zabrał jak swoje...

Nie wiem ile czasu przesiedziałam, nie widząc nic przed sobą, nawet na niego nie patrząc. Wiem tylko, że Zygmunt pierwszy przerwał milczenie:

— Pani musisz być cierpiącą, zauważył; dawno pani nie widziałem i znajduję panią zmienioną.

Co było w tych słowach Natalio? czy ironia, czy po prostu w dobrej wierze wymówionemi zostały? Na myśl że one być mogą powiedziane z jakąś myślą naprzód powziętą, zarozumiałą a złośliwą, gorąco mi się zrobiło z gniewu, wstydu i żalu, a miłość własna obrażona dała mi tyle siły, że natychmiast odparłam chłodno:

— Zawsze tak bywa, że pewien przeciąg czasu, mniej więcej długi zmienia ludzi do głębi. Czy pan o tém nie wiedział?

I odważnie spojrzałam na niego. Pan Zygmunt przygryzł wąsy i odparł mi zwięźle:

— Doskonale i z dawna wiem o tém.

— Więc dlaczegoż się pan dziwisz znajdując mnie zmienioną? Nie widzę powodu, dla którego bym i ja nie miała ulegać powszechnemu prawu i mogę być zmienioną ile mi się podoba, nie potrzebując się nikomu z tego tłumaczyć.

— Masz pani zupełną słuszość, ale pytanie pochodzące z przyjaznej troskliwości nie powinno panią obrażać.

— Wszelkie pytanie jest natrętném.

— Nawet wtedy, gdy odpowiedź na nie dać łatwo?—zapytał Zygmunt.

— Co pan nazywasz odpowiedzią łatwą?—ja znowu odparłam pytaniem.

— Mogłabyś pani powiedzieć, że cierpisz ból głowy i wytłumaczyć mi tym sposobem zmianę, jaką w pani dostrzegam.

— A tak! w samej rzeczy, cierpię mocny ból głowy—rzekłam na to, siląc się na zimną krew spokojną—czy to wyznanie już panu wystarcza i może zakończyć rozmowę o tym przedmiocie? Zdaje mi się, że mało jest zajmujący, a zbyt wiele nam czasu zabiera... Z próżnych słów rachunek się przecie zdaje...

— Mój Boże!—zamyślony jakby do siebie półgłosem odezwał się Zygmunt—tożby w ten rachunek całe chyba życie wejść musiało!..

I poraz pierwszy spokojną twarz jego oblekł wyraz goryczy.

— Po sobie pan sądzisz?—spytałam.

Powiedziałam to naumymślnie z intencją przygryzienia mu do żywego, bo niezachwiany jego spokój drażnił mnie jak urąganie i jak obelga niecierpliwił, a widząc że niezaraz odpowiada, dorzuciłam: „kto milczy, ten potwierdza”—czy prawdę mówi przysłowie?

Alo on poważnie i smutnie spojrzał na mnie, jakby na dziecko miotające się w gorące i rzekł mi tylko:

— Pani dowcipem wojujesz...

— I naturalnie pan się obawiasz, żebym przez dowcip nie zgineła?—nie lękaj się pan... ja sobie zawsze dam radę...

Za tę szlachetną obawę jestem panu niesłychanie obowiązana, dowodzi ona wszakże...

— Czego dowodzi?... Pani masz czasem dziwny sposób wnioskowania.

— Ale często prawdziwy... Dowodzi w panu większej o mnie troskliwości niż znajomości kobiecych serc w ogóle, a mojego w szczególności.

— Nie rozumiem pani.... Są chwile, w których mi się zdaje, że pani mówisz zagadkami.

— A pan sobie bynajmniej nie silisz głowy nad ich rozwiązaniem?

— Nie to chciałem powiedzieć.

— Ja tak zrozumiałam. Jeżeli zrozumiałam źle, wolno panu mój błędny sąd sprostować. Więc tedy pan znajdujesz, że ja zagadkami mówię—coż dalej?

Czułam że mówiąc to, jestem w mocy owego złośliwego demona, który mi zawsze zamyka usta w chwili, gdy mówićby potrzeba, albo każe mówić słowa, co tak tną i kaleczą jak nożyczki trzymane w dłoni dziecka nierozważnego. Czułam to doskonale, miłość z dumą walczyły we mnie, a instynkt jakiś mi mówił, że moje słowa i Zygmunta ranią także boleśnie. Ale ja tak cierpiałam okropnie, że cierpieniem własnem objętniałam nawet na boleść ukochanego, z jakimś gorzkiem, niepoczciwem zadowoleniem jątrzyłam zobopólną ranę i komentując słowa chłodnym uśmiechem, spytałam znowu:

— Coż dalej? przecież te moje zagadki muszą panu jakąś myśl nasuwać?

— I w samej rzeczy nasuwają.

— Jaką?—podchwyciłam gorączkowo i z żalem, miłością i trwogą uderzyło mi serce w piersi.

— Czy pani ta wiadomość jest na co potrzebną?

— Konieczną, szepnęłam prosząco, i łyzy mi znowu w oczach stanęły.

— Na co?—zapytał Zygmunt z gniewną jakąś goryczą

— czy na jedną zabawkę więcej, czy na chwilę rozrywki wesołej, za którą pani tęsknisz zapewne?

Mój Boże! co jabym była dała w téj chwili, żeby śmieć odpowiedzieć: na jeden skarb więcej, na skarb jedyny, najdroższy, na szczęście moje. Ale ja tego nie mogłam po-

wiedzieć, usta mi się zamknęły uporem smutnym i odparłam tylko:

— W takim razie nie powiedziałabyś mi pan téj myśli?

— Władnym razie nie powiem jój pani—rzekł Zygmunt z taką surową, stanowczą powagą, że patrząc na niego, uczułam jak mi krew wszystka zbiegła do serca napowrót. I zamilkłam przerażona i smutna, a on raz jeszcze powtórzył łagodniej już teraz, ale z tą samą stanowczością:

— Nie powiem, i pani sama już mnie pytać o to nie będziesz.

— Dlaczego ja pytać nie mam? co i kto może mi zabronić pytania?—odparłam rozżalona, czując, że w téj chwili po raz ostatni waży się cała przyszłość moja. I mimo łez oczy na niego podniosłam i w twarz mu patrzyłam rozplakany wrokiem; ale on w dal patrzył, przed siebie nie na mnie, niczego nie szukał w oczach moich, nie chciał ich o nic już pytać, tylko z większym jeszcze jak pierwój wyrazem znużenia powiedział mi znowu:

— Nie będziesz pani pytać, boś zanadto rozsądna, żeby się kusić o niepodobieństwo, zanadto szlachetna, żeby się pastwić...

— Nad rozbrojonym?—spytałam, rumieniąc się radością i... wstydem prawie, bo czułam, że każde słowo tego człowieka zdobywam nie inaczej jak czyniąc ustępstwo z mojej dumy kobiecój.

— Nad rozbrojonym? czy tak panie Zygmuncie?—powtórzyłam.

— Nie będziesz pani pytać—odparł jakby z wysiłkiem smutnym i umilkliśmy oboje i tym razem milczeli już tak długo, aż turkot powozu oznajmił nam przybycie Toli i Julii.

Weszły obie do salonu i ta Julia, ta jego szczęśliwa narieczona, śliczna jak zaklętych bogiń królowa, zastawszy nas razem oboje, nie rzekła ani słowa jednego, tylko mnie powitawszy ze zwykłą sobie uprzejmością serdeczną, takiem łagodnie rozmiłowaném spojrzeniem zajrzała w zamyślane oczy Zygmunta, taką słodką pieśczętą wzroku obrzuciła twarz jego, jakby wiedziała z pewnością, że mimo wszystko ona jedna potrafi mu być całym światem pociechy, całą obietnicą przyszłości. W tym jednym błysku przelotnym intuicyą zakochanej kobiety odgadłam świętą, spokojną praw-

dę jęj uczucia, i zapytałam sama siebie, która z nas dwóch większą pewność szczęścia dać może: czy ja, kochająca *więcej*, kochająca całą siłą uczuć, spotęgowanych siłą myśli i doświadczeniem z życia wyniesioném, czy ona... może *lepiej* kochać umiejąca. To pytanie jest palącą zagadką, której męczarnia o szaleństwo myśli i rozpacz serdeczną przypawić mnie może... czy ty żadnej rady, żadnej pomocy dać mi nie możesz, Natalio?

Michalina.

List XLI.

NATALIA DO MICHALINY.

Dnia 25 października.

Owszem, jedną radę dać ci mogę, Michalino: albo przezwycięż w sobie uczucie dumy i bądź co bądź, dowiedz się prawdy, albo... usuń się z drogi tej, która, jak sama przyznajesz, *lepiej* kochać umie Zygmunta. Innego środka nie widzę. Tak postępując jak dotąd, skazujesz sama siebie na męczeństwo tém straszniejsze, że bezowocne i dręcząc siebie, nie tylko że może dręczysz Zygmunta, ale jeszcze drażniąc go kameleonową zmiennością tonu, jakim do niego przemawiasz, zostaniesz mu w pamięci przykrém wrażeniem, jakby gorączkowej zmory pamiętką, i z człowieka, który cię kochał, zrobisz człowieka, którego trwożyć będzie samo o tobie wspomnienie. Powtarzam: jedyna to rada jaką ci dać mogę i daję ją sercem całém, pełném współczucia dla ciebie. Pisz do mnie, donieś o wszystkiém, czy wyjechał już pan Zygmunt i jakie było pożegnanie wasze?... Jaką ty dziwną masz naturę Michalino, że zawsze mówisz nie to, co czujesz i nie to co powiedzieć potrzeba, a milczysz, kiedy jedném słowem poważnie wymówioném, wszystkie wątpliwości możesz rozwiązać. Czyż miłość, która jest arcy-mądrością kobiety, ostateczném jęj dokształceniem moralném, nie stanie się i dla ciebie mistrzynią najlepszą; czy cię nie nauczy takiego wyrazu, co będzie umiejętném pogodzeniem godziwej dumy kobiecęj i serdecznęj prawdy twojęj? czy ty wiecznie będziesz się wstydziła być sobą?—kobietą, której

cała przewaga i siła w uczuciu tylko spoczywa? Michalino, pamiętaj, że zawsze i wszędzie, prawdą tylko i prawdą jedynie zwyciężyć można, ale w sobie zwyciężyć prawdę dla marnych urojeń, dla błahéj drażliwości—to zbrodnia prawie, i Bóg rachunek zdać ci każe ze zmarnowanej na to siły, z dobrowolnie zadanego sobie cierpienia... Słowa moje surowe są może, ale płyną z serca i dyktuje mi je takie zrozumienie życia, które wśród zmiennych tego życia kolei, jedynie tylko szczęście i spokój wewnętrzny zapewnić może.

Natalia.

List XLII.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 30 października.

Wyjechał już pan Zygmunt, wyjechał prawie o tydzień później jak miał pierwotnie wyjeżdżać, ale już go dzisiaj nie ma w Podzamczu... Chcesz wiedzieć, jakie było nasze pożegnanie?... Pamiętam, lat temu parę, czytałam obrazek dramatyczny pod tytułem: *Kto winien?* napisany przez p. Ilnicką. Otóż w tym obrazku, który ze wszechmiar jest ślicznym klejnocikiem poezyi, jest scena gdzie ukochana ukochanemu, (w skutek nieporozumień i okoliczności, o którychby ci za długo opowiadać) robi następujące wyrzuty:

„Czemuż w serce kobiety nie wierzył?”

„Czemuś w nie iskrą ducha twego nie uderzył?”

„Czemuś ją zakłąć nie chciał na przeszłości bóle

„I przyszłości nadzieje?”... i tam dalej i dalej, aż w końcu ten ustęp, w saméj rzeczy pełen siły i prawdy serdecznój kończy się wykrzyknikiem:

„O! biadaż nam! biada!

„I temu co nie podniósł i téj co upada!”
i wreszcie idzie prośba namiętna i rzewna razem:

„Ratuj ukochany!”

Cała ta poezya snuła mi się po myśli, gdym poraz ostatni żegnała pana Zygmunta. Osoba trochę więcej odemnie w patetyczności zamięlowana mogła była wyrecytować cały ten ustęp głosem drżącym od łez, przepleść go błyskawicami wzroku, a potem mdlejąc, w malowniczej pozie upaść na

fotel. Trudno bowiem przypuścić, żeby w takim wypadku *ukochany* ratować nie chciał... Można więc było to zrobić i liczyć na porywający efekt tak dramatycznej sceny. Ale ja tego nie zrobiłam. Pan Zygmunt przyjechał z pożegnaniem do Książyna; szczegółowo, nie pomijając nikogo, pytałam go o zdrowie wszystkich gości i mieszkańców Podzamcza; zdaje mi się, że nawet i o ich humor pytałam troskliwie, potem mówiliśmy o tém i owém, o rzeczach wziętych z potocznego życia, potem gdy podano herbatę, robiłam mu przy niej honory stołu, opowiadałam, jak rozumny i przywiązany do mnie jest *sokół*, jak lubię Książyn i rozmowa szła nam bardzo łatwo.... Potem gdy wyjeżdżał, podałam mu na pożegnanie końce moich paluszków i z bardzo spokojnym uśmiechem, grzecznie, jak przystało na dobrze wychowaną kobietę, życzyłam mu szczęśliwej podróży, za co on mi równie grzecznie podziękował. A potem... jak już wyszedł z pokoju i siwe jego konie ruszyły z przed ganku i niedługo potem znikły mi z oczu zupełnie, to mi się tak dziwnie zrobiło, jakby te śliczne stworzenia, które tyle razy admirowałam, uwoziły z sobą życie moje.... i rozpłakałam się głośnym nieutulonym płaczem i szlochałam jak dziecko, i byłabym bez wahania całe życie oddała za to, by Zygmunt powrócił jeszcze, choćby na jedną chwilkę, na chwilkę tak krótką jak mgnienie oka... A jednak znając siebie przekonana jestem, że gdyby powrócił i wszedłszy, zastał mnie płaczącą i zapytał czego płaczę, jak wtedy, kiedy pytał czemu zmienioną jestem, tobym mu tylko krótko i zwięźle odpowiedziała, że mnie znowu głowa boli i dowodziłabym mu, że taka a nie inna jest moich łez przyczyna. A gdyby, wiedząc że na migrenę nic poradzić nie może, powtórnie odjechał, płakałabym znowu tak samo, więcej jeszcze, bo wiedziałabym z pewnością, że już tym razem nie powróci.... Cóż robić Natalio? taka już widać moja natura, czy może złe nawyknięcie, które się stało drugą naturą i nie może już być zmienioném. Żza wtedy tylko nie jest śmieszną, kiedy ją pocałunek osuszy w oku, zanim jeszcze na rzęsach zaświeci, wtedy nawet jest rzeczą śliczną i Bożą rosą, co kwiat uczucia zasila, dodaje mu blasku i woni. Ale tak, łez rzewnych strumienie ocierać prozaicznie chustką do nosa, choćby ona była nawet najcieńszą batystową tkaniną, to manifestacya, która nietylko

że do niczego nie doprowadza, ale co gorzej, niewłaściwa jest i śmieszna. Jeżeliby mnie pan Zygmunt kochał, toby mnie sercem odgadł, zanim jeszcze sama zdołałabym zdać sobie sprawę z mojej miłości; jeżeli mnie nie kocha, to nie w porę roztkliwiona i zapłakana wydam mu się tylko bardzo szpetną, jak nią jest niewątpliwie każda kobieta mająca oczy od płaczu zapuchnięte. A słuchaj Natalio... wołałabym cierpieć dwa razy tyle co cierpię, niż widzieć to, żeby wybuch mojej miłości wywołał tylko chłodne zdziwienie, lub co najwięcej litosne współczucie w człowieku, któremu bym miłość moję wyznała—upokorzenie takie jest rzeczą, której spojrzeć oko w oko nie mam odwagi.... nie mogę Natalio moja. Więc też jedyną drogą, zgodną z loiką mego charakteru, była to droga sławnych podjazdów, które nie wiem kogo więcej męczą: mnie, czy jego. Jest jeszcze środek jeden: zerwanie wszelkich stosunków z Podzamczem, ale to środek zbyt bohaterski, zbyt daleko wychodzący poza wymagania towarzyskich konwenansów i jako taki, zakrawający na ostentację, czyli śmieszność znowu. Widzisz więc, stoję w takim błędnym kole, że wszelkie usiłowanie wyjścia zeń rozszerza tylko obwód tego koła i utrudnia mi przez to możliwość wyrwania się z niego.

Miedzy śmiesznością łez wylewanych przez *kochankę niemającą wzajemności* (jak mówią przestarzałe romanse) a śmiesznością zrywania bez żadnej do tego przyczyny, stosunków z przyjemnym i przyjaznym mi domem, nie ma innej drogi pośredniej jak *statu quo* dzisiejsze, a przynajmniej ja drogi innej znaleźć nie umiem....

Trzeba ci jeszcze wiedzieć, że wyjazd p. Zygmunta opóźnił się z powodu wypadku, jakiemu uległa baronowa. Złamała nogę, co dla osoby w tym wieku jest rzeczą bardzo niebezpieczną; upadły więc wszelkie projekta wyjazdu i matka z córką na całą zimę zostają w Podzamczu. Odwiedzając dzisiaj chorą baronową, dowiedziałam się o tém między innymi, że za dwa tygodnie powraca pan Zygmunt do Podzamcza. Nie wiem, czyto rozłączenie, które musi jej się wydawać długim dlatego, że jest pierwszym rozłączeniem, czy może jaki niepokój myśli, jaka niepewność serdeczna wywołały na czoło Julii chmurę smutnego zamyślenia; ale witając mnie pobrała znowu jak wtedy w Kniażynie.... choć nie by-

ło czego, bo Zygmunta nie ma już przecie. I przypatrywała mi się długo śliczna dziewczyna jasnowłosa z dziwnym wyrazem trwogi i zapytania w oczach, jakby chciała myśł moję wybadać, wyczytać uczucia najskrytsze i stosować do nich plany przyszłości swojój. Przyjechałam złamana i smutna, ale mnie to uparte pytanie drażnić w końcu zaczęło, drażnić tém mocniej, że choć uparte, tak dziwnie pociągająco było łagodne, tak pocziwie o odpowiedź prosiło. Potrzebowałam całej mocy nad sobą, żeby się oprzeć miękkić pokusie co mi szeptała: nie udawaj uśmiechu wesela, bądź smutną tak, jak i w sercu ci smutno;”—ale się jęj w końcu oparła i byłam wesołą, i jak dziecko rozfiglowane pustą i chwilami złośliwie szyderczą, byłam tém wszystkiém, choć taka komedia nużyła mnie niewypowiedzianie, a oczy Julii patrzyły na mnie z wyrazem bolesnego zadziwienia. A jeżeli zapytasz Natalio, dlaczego byłam taką, to ci odpowiem: że kiedy na moje pytania życie nie daje mi odpowiedzi, kiedy ja się męczę niepewnością, i czując że stoję nad przepaścią rozpacz, co chwila się lękam, bym w tę otchłań bezdenną nie wpadła; to dlaczegożbym miała odpowiadać na cudze pytania niespokojne i cudzych serc niepewności rozwiązywać? poco? dlaczego? Ja sama tyle cierpię że Bóg ani ludzie nie mają prawa odemnie wymagać nic więcej tylko bym mężnie i rozumnie potrafiła przenieść cierpienie... Ja nie mam siły być podporą drugim, szczególnież téj, co wzięła sobie na własność jedyną podporę, na której z miłością i dumą oparłabym się w każdej chwili życia.... ja nie mam na to siły Natalio, i znużona, bezsilna umiem tylko ci mówić, że kocham Zygmunta, a słowo to jest skargą tak ciężką, tak bolesną, że powinno mi wyprosić zlitowanie u Boga.

Michalina.

List XLIII.

ZYGMUNT DO ANIELI.

Dnia 30 października.

Z drogi już piszę do ciebie, siostrko kochana, a piszę, bo choć wyjechałem z Podzamcza, nie będę miał czasu być teraz u ciebie. Za dwa tygodnie znowu powracam do do-

mu braterstwa; baronowa złamawszy nogę, na długi czas do łóżka przykuta, a tytuł narzeczonego upoważnia mnie i obowiązuje być jak najwięcej przy pannie Julii. Anielska atmosfera spokoju, jaka otacza moję narzeczoną zbawiennie oddziaływa na mnie, choć burza mojej myśli, łagodnym balsamem dotyka ran mego serca i odkrywając mi przyszłość pełną uroku odrywa pamięć od przeszłości, którą tak trudno zapomnieć. Trudno.... bo powszednie okoliczności życia co chwila nieprzewidzianym zbiegiem stają wpoprzek woli ludzkiej, i o tę poziomą a szeroką zaporę rozbija się wola, lub też przebywszy ją wielkim wysiłkiem, czuje się niewymowne zmęczenie moralne. Taki właśnie jest powód, dla którego nie pisałem do ciebie aż wtedy jeszcze, kiedy ci donosiłem o moich zaręczynach z Julią. Nic przeto nie wiesz, że skutkiem jakiejś sprzeczki pani Michalina zwróciła słowo Rajmundowi i właśnie w parę chwil potem przyjechałem z Tolą do Książyna. Wzruszenie jój, wzburzenie raczej, nie uszło mojej uwagi, nie wiedziałem jednak czemu przypisać ten niezwykle stan osoby tak umiejaczej panować nad sobą. Dopiero Tola, zwróciwszy uwagę na leżący na oknie zaręczynowy Rajmunda pierścioneł, otrzymała odpowiedź, która wszystkiego domyślać się pozwalała i była niby powiedzianą pół-głosem, ale tak jednak że te słowa usłyszeliśmy wszyscy wyraźnie. Anielo, skłamałbym, gdybym ci powiedział, że wiadomość ta, tak zupełnie, niespodziewana, nie uczyniła na mnie żadnego wrażenia, a przed tobą nie tylko kłamać, ale nawet prawdy milczeniem zatajać nie chcę. Była chwila straszna... chwila w której wszystkie dawne nadzieje moje, zbudziły się ze snu, co miał być dla nich snem śmierci i zawołały wielkim głosem, że chcą żyć i stać się rzeczywistością... bo teraz rzeczywistością być mogą. A jam słuchał tych głosów tak chciwie, jak się słucha poważnej, uczciwej obietnicy szczęścia i zapomniałem przez chwilę, że taką obietnicą niezawodną nie może być dla mnie miłość Michaliny... Zapomniałem, jam ją kochał tak długo, tak bardzo, że myśl moja skuta więzami nałogu zawsze do niej mimowoli powraca... Ale to wszystko krótką chwilę trwało tylko, bo moja słodka narieczona pobladła jakby trwożnym smutkiem przejęta, a jam sobie przysiągł, że z mojej przyczyny smutku ani trwogi nie pozna Julia w życiu... więc

dotrzymałem przysięgi, i to zwycięstwo nad szalem jednej chwili odniesione opłaciło mi się sownie spokojną ufnością, z jaką Julia uśmiechnęła się do mnie... ale kosztowało mnie wiele i było mi bolesném a dotkliwém wszystkich moich smutków przypomnieniem. Nie na tém koniec, w parę tygodni później, Rajmund, ten Rajmund, którego ona kochała, może dotąd jeszcze kocha, a którego nawet cierpienie, spowodowane jój utratą, nie zdołało podnieść i uszlachetnić, napisał do mnie przypominając, że mu przyrzekłem zrzec się wszelkich zabiegów o rękę Michaliny. Ton tego listu dziwnym był, miejscami aż do impertynencyi wymagający, miejscami aż do podłości pochlebny, a nigdzie słowa, któreby dowodziło, że ten człowiek znaczne w piersiach ma serce, list, którego słowa groźbą i zemstą syczały jak węże i jak węże pełzały nikczemnie... Odpisałem, donosząc mu tylko, że jestem po słowie z panną Julią i zacząłem być spokojny jak człowiek, który wreszcie pokonał ścigającą go zmołę. Ale znów przed tygodniem, jak zła gwiazda mego życia spadła tu pani Michalina i przez długich godzin kilka, naprzemian głaszcząc mnie i kalecząc słowami, męczyła mnie tak niemiłosiernie, że na gorsze tortury ludzkiego serca brać już nie można. A! czegoż to tam nie było? i smutnie szep-tane pół-słówkami ucinki drwiące, i cierpkie uśmiechy ironiczne, i takie pytania, na które wtedy tylko odpowiedzieć można, jeżeli po za tą odpowiedzią stoi cały raj wspólnej przyszłości... Była chwila, w której oczy jój tak się szklily łzami, że z poza rzęs czarnych łzy te jak brylanty migały i świeciły mi jak gwiazdy zapłakane... Anielo, jam mało nie oszalał, domyślając się, że od tych łez tłumionych gorz-kiem łkaniem żalu wzbierać musi pierś kobiety, bo ona płakała, ja to czułem Anielo... Powiedz mi, co te łzy zna-czyły i dlaczego za chwilę potem takim gniewem i ogniem pośepnym znowu błysnęły jój oczy? dlaczego znowu targa-ła słowem za struny mego serca, jakby umyślnie te wybiera-jąc, co nieuważnie dotknięte, rozpaczny jękną akkordem?

Jam milczał, broniąc się jój tylko słowem łagodném, ona pastwiła się nademną, przedłużając bez miary tę rozmowę, co dla niej była... zapewne niczém więcej jak igraszką, dla mnie średniowiecznej tortury próbą. Aż wreszcie powrót Toli i Julii, przerwał to długie sam na sam, i spojrzenie

mojej narzeczonej znowu zażegnało tę burzę, co szalała we mnie sprzecznych a gwałtownych uczuć zamętem. Jeszcze jedna czekała mnie próba: być w Książnicy z pożegnaniem. Pojechałem tam w przeddzień wyjazdu, ale tym razem pani Michalina była jeżeli nie łagodną, to przynajmniej obojętną i zamykającą się jedynie w przepisach chłodnej, salonowej grzeczności. Nawet rozmowa nasza nie była czém inném, jak zdawkową monetą salonu, nie potrącała ani o jedną kwestyę, któraby mogła wywołać jakąś myśl poważniejszą. Tylko gdy odjeżdżał i rękę jej podawał na pożegnanie, znowu w jej oczach jakieś blade światło mignęło i przesłoniło jej ciemne źrenice jakby przejrzystą kryształową taflą. Tém ostatniém wrażeniem rozstrojony, przybywszy do Podzamcza, nie miałem już tyle mocy nad sobą, żeby ukryć zmęczenie swoje i dziwny niepokój, co myślami memi owładnął. Cały wieczór przesiedziałem obok Julii w milczeniu, całą noc przepędziłem bezsennie... Ale jasność dzienna rozproszyła widma nocy i w słonecznym świetle poranku, gdym żegnał moję narzeczoną, rozpromienioną jakimś wdziękiem łagodnym, otrząsnętem się z myśli dręczących i uwierzyłem, że nie ma prawa wątpić o szczęściu ten, który taki skarb słodczy, miłości i wdzięku na własność posiadać będzie.

Zygmunt.

List XLIV.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 18 listopada.

Mój Boże! jak smutno na świecie!... we mnie, wkoło mnie, wszędzie smutek grobowy. Lubiłam dotąd tę dżdżystą i ponurą porę roku; z książką w rękę, przy ciepłym ogniu kominka lubiłam patrzeć, jak deszcz szarą płachtą widnokrąg mi przesłania, monotonnym a płaczliwym odgłosem bije o szyby; lubiłam słuchać głuchego szelestu liści, którymi pomiatał wiatr jesienny i wobec téj mrocznej, rozżalonej za jasnym słońcem natury, cieszyłam się, że w domu moim jasno i ciepło, że mi się kwiaty zielenią i kwitną, a myśli mojej otwarty jest cały świat ideałów, których piękność nie przemija jak wiosna i nie więdnie jak wonne bzu kwiaty, ale

niespożyta jest, nieśmiertelna i wieczną młodością promienna... Czułam się spokojną, a choć mi serce nie biło rozradowaniem, choć żal mnie brał czasem, że młodość moja ucieka, nie dając mi nawet czasu zamienić niewyraźnych marzeń na określenie się dające nadzieje, choć nieraz czułam się znużona samotną jednostajnością życia, nierozbudzonem uspieniem serca, to jednak nie byłam nieszczęśliwą i znajdowałam życie znośnem. Dziś tak samo jak przed rokiem, tak samo jak dawniej, gęstemi kroplami deszczu rozpląkały się ciemne chmury, tak samo wiatr zawodzi i szepcze; na kominie mam znowu ogień, co mi jaskrawym blaskiem cały pokój oblewa a w oknie tyle kwiatów, że przez ich liście błada jasność dzienna zaledwo zielonem pół-światłem przedrzeć się może. Więc nie zewnętrzne warunki, ale moralny ustrój człowieka jest miarą jego szczęścia i niedoli, bo mimo to wszystko złe mi i smutno, a myśli smutkiem znękanéj nie mogę ześlubić z myślą żadnego z tych wielkich mistrzów słowa, których utwory o tyle tylko dzisiaj wydają mi się pięknymi, o tyle są dla mnie zrozumiałe, o ile zgodne z wewnętrznem usposobieniem mojem i trącające o tę strunę serdeczną, co tak we mnie długo milczała, a teraz smutną pieśnią ciągle mi dzwoni w piersi... Natalio, takie życie to męka nad siły moje... a myśl moja i pamięć woli nieposłuszne, wiecznie w jednym kręć się kole, i o urokach wspólnego kochania, o wielkiem arcy-szczęściu kobiety szepcze mi serce takie słowa, tak z nimi płacze imię Zygmunta, takich ślicznych marzeń roje oplata wkoło tego imienia, że gdy rozważę myśli uznaję szaloną bezzasadność tych marzeń, co rzeczywistością stać się nigdy nie mogą... to żal mój jest tak ciężki, tak głęboki, jakbym szła za trumną, w której cała przyszłość moja złożona, snem bez zmartwychwstania usnęła. I chcę się trzeźwić nauką, pracą, zajęciem; ale nauka tak mało mi przyniosła korzyści, praca tak mało owocu, że nawet nie mogłam kupić sobie za nie tego szczęścia, które mieć zapragnęłam i nie posiadałam... może właśnie dlatego że dzięki nauce i pracy, uniosłam się hardą dumą i uwierzyłam, że szczęście takie jest rzeczą podrzędną i lekceważonem być może. Więc powiedz Natalio, co ja teraz robić będę? bo przecie nie mogę tak przeproznować ży-

cia we łzach i rozmyślaniu... a nie mam celu, nie mam obowiązku, którego twarda ręka pisałaby na pustych kartkach mego życia czyny wcielające myśl Bożą. Bo odtąd kocham Natalio, dziwna we mnie zaszła zmiana, złagodniałam i zmiękłam, jakieś ciepło niezwykle pali mi się w sercu rozbolełym i chciałabym, żeby lepiej i jaśniej było koło mnie ludziom, dla tego, że ja kocham Zygmunta... chciałabym każdą łzą otartą niedoli, każdym czynem użytecznym, każdą chwilą pracy pocziwiej kupować dla niego po małej szczęścia cząsteczce i kupić ich tyle, aż się z nich wielka promienna ułoży całość i blaskami całe mu życie rozświetli... I choć mi ta miłość przyniosła same tylko smutki i niepokoje, a nie dała ani jednej chwili radosnej nadziei, to jednak wdzięczna za nią jestem Bogu i w godzinę śmierci ostatnią myślą podziękuję Zygmuntowi za to, że go tak kochała serdecznie, za to, że w nim mogła uczcić zacność jego i siłę, że dzięki jemu, poznałam przecuciem i marzeniem to ziemskie niebo, jakim być musi życie przy boku ukochanego pędzone, ciche, spokojne życie, w którym dzień każdy zaczyna się nadzieją szczęścia, kończy pacierzem dziękczynnym za dotrzymaną jego obietnicę, a wypełnia tą miłosną pracą pszczoły, co najsłodsze zdobycze do ula swego znosi; życie takie, które ściany domu zamienia w świątynię, zanim błogosławieństwo Boże zamieni je w kolebkę, z której srebrny śmiech dziecka zadzwoni... Takie życie i szczęście takie mieć będzie Julia... Nie myśl Natalio, żebym wspominając to imię miała w sercu uczucie do zazdrości podobne, nie... tylko mi jeszcze smutniej na myśl, że pierwój nim ona to miejsce zajęła, ja mogłam stanąć na niem, i sama sobie się dziwię, że mając w ręku klejnot drogi, upuściłam go, by sięgnąć po grudę pozłacanego błota. Jam sama winna i tylko ja jedna winną jestem, ale też i wyrok Boży nademną zamiast być po ojcowsku miłosiernym, jest tylko ściśle sprawiedliwym i na żal beznadziejny, na smutek niezapomniany skazuje całe życie moje...

W tych dniach powraca albo już może powrócił Zygmunt. Nie wiem, na jak długo przyjedzie tym razem, ale prawdopodobnie widzieć się będziemy, a nadzieja widzenia go trwoży mnie i cieszy zarazem. Ta miłość moja tajona i ta nadzieja niepewna jest mi jak gwiazda, zawieszona

w niedostępnych sferach marzenia i promieniem swoim nie na mnie patrząca, ale mimo to droga mi i święta, bo jedyna, co przyświeca w szarą pomrocę mego życia. Dlaczego Bóg tak stworzył serce kobiety, że póty niewyraźną choruje tęsknotą, póty szuka niespokojnie, aż znaleźć musi to, co już ma być całego życia ukochaniem... ach! i życia smutkiem także? Dlaczego to serce tęsknotą swoją zwiedzione, tak często wchodzi na mylne drogi i fałsz w drugich lub pozór w sobie znaleziony, w dobrą wierze za prawdę przyjmuje? Ja przecie nie kochałam Rajmunda... Wierzyłam tylko, że on mnie kocha prawdziwie, wierzyłam że ja się do niego przywiążę i fakt uprzedziłam słowem... to cała wina moja... Wmawiałam w siebie uczucie, bo mi się zdawało, że wmówić je potrafię i złudzenie dobrowolnie za prawdę przyjęte, z upływem czasu zamienię w prawdę rzeczywistą. Rajmund stanął mi na drodze w chwili, kiedy pierwsze słowa Zygmunta rozbudziły we mnie najmniejsze struny kobiecego serca, a niewprawne ucho moje nie mogło poznać, że to nie ręka mistrza próbuje z nich śpiew wydobyć... Gdy błąd mój poznałam, już wtedy było zapóźno. Nie w porę! w tym słowie malutkiem nieraz chyba musi się mieścić cała historia życia, cała tajemnica zmarnowanego szczęścia, cały krwawy dramat serdeczny... Nie w porę! to słowo jest mi ciąglem przypomnieniem winy i karą ciągłą i wyrzutem bolesnym, jest prawdą jak słońce jasną, a straszną jak noc zaduszną, i brzmi mi w uchu jak żałobne podzwonne, jak skarga tak płacze rzewnie, jak nieszczęście w pamięci mi stoi. Natalio, powiedz mi, co mam robić, żeby tego słowa zapomnieć i pogodzić się z życiem, w którym jak daleko okiem zasięgnę, nie widzę nic, co by mogło być punktem oparcia dla myśli, celem dla serca, sprężyną działania i pracy.... Powiedz mi, jak się ratować, gdy ziemia się z pod nóg usuwa i człowiek leci w przepaść, nie mogąc pochwycić żadnej deski zbawienia?

Michalina.

(Dokończenie nastąpi).

